

FRANCISZEK COPPÉE.

Kawałek chleba.

Młody książę de Hardimont znajdował się w Aix w Sabaudyi, dla kuraryi sławnej swej klaczki *Perichole*, kaszającej bardzo od ostatniej Derby, na których się zaziębiła, i kończył właśnie śniadanie, gdy rzucając wzrokiem niedbale na rozrzucone dzienniki, wyczytał w nich wiadomość o porażce pod Reichshoffen.

Dopił kieliszka wonnego likieru, położył serwetę na stole restauracyjnym, rozkazał służącemu zapakować kufry i w dwie godziny później jechał pociągami pospieszonym do Paryża. Stanawszy na miejscu, udał się bezwzględnie do biura wojennego, aby się zapisać w szeregi walczących. Doremnie od dziewiętnastego do dwudziestego roku pędziło się denerwujące życie zdechlaczka — jak wówczas mówiono — doremnie upadła się umysł w stajniach wyścigowych i budoarach operetkowych śpiewaczek: są okoliczności, w których nie można zapomnieć, że Enguerrand de Hardimont zmarł z zarazy w Tunisie, w tym samym dniu, co św. Ludwik, że Jan de Hardimont prowadził hufce pod rozkazami Du Guesclin'a, a Franciszek Henryk de Hardimont zginął pod Fontenoi. Jakkolwiekbaż wiele życia wyssały z Henryka de Hardimont skandaliczne i ogłupiające jego miłostki z Lucy Violette, prima-donna teatru Nudités-Parisiennes, mimo to jednakże młody książę, dowiedziawszy się, iż Francuzi na ziemi francuskiej bitwę przegrali, uczuł na twarzy palący rumieniec, jak gdyby go znieważono policzkiem.

Dlatego też w pierwszych dniach listopada 1870 roku, powróciwszy do Paryża z pułkiem, należącym do dywizji Vinoy, Henryk de Hardimont, strzelec trzeciej kompanii drugiego pułku i członek Jockey-klubu stał na warcie ze swą kompanią przed redutą Hautes-Bruyères, naprędce ufortyfikowaną, a osłanianą przez armaty fortu Bicêtre.

Ponura to była miejscowość: droga zarosła nędzną olszyną, przetrzęta głęboko wyżłobionemi w błocie kolejami, ciągnęła się wzdłuż pól podmiejskich, a przy tej drodze stała opuszczona karczma, otoczona niegdyś altanami, zajęta obecnie na stanowisko żołnierzy. Walczono tam przed kilku dniami; kule poprzecinały na dwoje niektóre z przydrożnych drzew, a na ciemnej korze innych widniały blizny od strzałów. Na widok domu dreszcz wstrząsał; dach przedziurawiła bomba, ściany, złane winem, wydawały się jakby krwią zbryzgane. Altany poniszczono, kręgle porozrzucono; mokre zaś liny huśtawki, ciągle skrzypiące, jak również podrapane od kul napisy przy drzwiach: Gabinety, Absynt, Piolunówka, Wino 60 cent. litr, otaczające zabitego królika, wymalowanego ponad dwoma bilardowymi kijami, złożonemi na krzyż i przewiązanemi wstążką: wszystko to przypominało, z okrutnem szderstwem, ludowe uciechy ubiegłych dni świątecznych. Ponad tem wszystkim wznosiło się sklepienie brzydkiego zimowego nieba, po którym przeciągały ciężkie ołowiane chmury. Wydawały się one tak,

jakby wisiały tuż ponad ziemią, a wyglądały przykro-złośliwie.

W drzwiach karczmy stał młody książę z karabinem przewieszonym przez ramię, z czapką nasuniętą na oczy, ukrywający zdrętwiałe od zimna ręce w kieszeniach czerwonych spodni i drżąc w krótkim kożusku. Żołnierz pobitej armii, pograżony w ponurych dumaniach, patrzył z boleścią na szereg wzgórz, ginących w mgle, z kąd co chwila rozlegał się huk strzału i wznosił biały dym, z ziewających paszcz dział Kruppa. Nagle uczuł głód.

Przykląkł i z tornistra, leżącego przy nim pod ścianą, wyjął kawał żołnierskiego chleba, a ponieważ zginął mu był nóż, jadł więc książę pan ten chleb żołnierski, odgryzając kawałki zębami.

Zaledwie ukąsił parę razy, miał już dosyć; chleb bowiem był twardy i gorzki. I powiedzieć, iż nie będzie się miało świeżego, aż dopiero nazajutrz przy rozdawaniu racji i to jeszcze jeżeli się to podoba intendenturze! Ciężki był niekiedy ten zawód żołnierski i oto przypomniał sobie teraz, jakie to niegdyś spożywał higieniczne, jak je nazywał, śniadania, gdy po zbyt sutej kolacji zasiadał około południa dnia następnego przy parterowym oknie w Café Anglais i kazał sobie podać — ot tak coś lekkiego — kotlecik, jajka sadzone na łebkach szparagowych, a piwniczny, znający jego przyzwyczajenia, odkorkowawszy ostrożnie, stawiał na obrusie srebrny koszyk z leżącą w nim butelką starego wina. — Do stu bomb i kartaczy! Dobrze to były czasy i nie przyzwyczaję się nigdy do tego nędznego chleba.

Zniecierpliwiony, rzucił resztę chleba w błoto.

W tej samej chwili z karczmy wychodził szeregowiec z piechoty; pochylił się, podniósł chleb, a oddalwszy się parę kroków, obtarł go rękawem i zaczął chętnie zjadać.

Henryk de Hardimont wstydził się już swego postępku i przypatrywał się z litością biedakowi, dającemu dowód tak dobrego apetytu. Był to chłopak wysoki, cienki, źle zbudowany, z oczyma gorączkowo błyszczącymi i nieogoloną brodą, a tak wyhudły, iż przez wytarty mundur widać było sterzące łopatki.

— Tak ci się jeść chce, kolego? — zapytał Henryk de Hardimont, zbliżając się do żołnierza.

— Jak widzisz, — odparł tenże mając usta zapchane chlebem.

— Przepraszam cię więc. Gdybym był wiedział, że ci się nim mogę przysłużyć, nie byłbym go rzucał na ziemię.

— Nie nie szkodzi — odrzekł piechur. — Nie brzydzę się wcale.

— Bądź cobądź — mówił dalej książę, — źle uczyniłem i wyrzucam to sobie. Ale nie chcę, abys miał o mnie złe wyobrażenie i ponieważ mam w manierce stary koniak... więc, do licha! wypijemy razem.

Piechur ukończył swą czynność. Książę i szeregowiec napili się razem z manierki; znajomość była zrobioną.

— Jakże się nazywasz? — zapytał żołnierz z piechoty.

— Hardimont — odrzekł książę, opuszczając umyślnie tytuł... A ty?

— Jan — Wiktor... Właśnie tylko co zapisano mnie do tej kompanii... Wychozę z ambulanseu... Ranny byłem pod Châtillon... Ach! jak tam dobrze było w lazarecie! Dawali taki doskonały rosół z konieskiego mięsa... Ale cóż! Lekko tylko byłem draśnięty; major wypisał mnie ze szpitala i znów rozpocznie się zdychanie z głodu... Bo, wierz mi, jeżeli chcesz, kolego, ale tak, jak teraz patrzysz na mnie, głodny byłem całe życie.

Strasza to było słowo wyrzeczone do rozkosznika, który przed chwilą właśnie myślał z żalem o dobrej kuchni Café-Anglais: więc też książę de Hardimont spojrział na towarzysza ze zdziwieniem równającym się niemal przerażeniu. Żołnierz uśmiechnął się boleśnie, ukazując zęby wilcze, zęby zgłodniałego, odznaczające się dziwną białością przy szaro zielonej cerze twarzy, jak gdyby zrozumiał, iż oczekiwano od niego zwierzeń.

— Słuchaj, kolego — rzekł — przestając nagle mówić „ty“ do towarzysza broni i odgadując w nim zapewne szczęśliwca i bogacza — kolego, przejdźmy się trochę wzdłuż drogi dla rozgrzania nóg, a powiem ci rzeczy, których zapewne nigdy kolega nie słyszał... Nazywam się Jan-Wiktor, Jan-Wiktor tylko, bo jestem znajdą i jedyne, jakie mam, dobre wspomnienie odnosi się do czasów mego pierwszego dzieciństwa, spędzonego w domu przytułku. W sypialniach były zawsze białe prześcieradła w naszych łóżeczkach; bawiliśmy się w ogrodzie, w cieniu wielkich drzew, i była tam dobra zakonnica, młoda jeszcze, blada jak woskowa świeca, — zgasła z wolna na chorobę piersiową.

C. d. n.

Ofiara.

(Z rosyjskiego.)

III.

Michajłow wodził oczyma w różne strony, silne jego dłonie uchwyciły stółek, jak gdyby go miał użyć za broń morderczą.

Wolnym krokiem wyszedł Aleksy z pokeju. W drzwiach zatrzymał się i spojrział wzrokiem poważnym na ojca, który jednak w tej chwili się odwrócił. Czując się samym, Michajłow śmiać się zaczął śmiechem piekielnym. Czy to sen? czy jawa? Prawdę — li syn mówił — czy też żartował?

Tam, w niewiekiem oddaleniu obracają się koła maszyn, tysiące rąk pracuje, ciężkie wozy się toczą, zmęczone konie sapią — on sam oblicza, bada, zastanawia się, rozważa; schlebia i poniża się w obec tych, którymi gardzi, ponosi ofiary pieniężne, nie zna wyczasu i wycięża wszystkie swe siły duchowe i fizyczne w przeciwnym kierunku. — I to w jakim celu? Chyba po to, aby podtrzymać honor, znaczenie i bogactwo swego domu! Wszak ten dom będzie za lat kilka własnością tego syna, który nosi jego imię. A to imię